Rok III.

Nr. 43. Nr. 43.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 25 pazdziernika 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

Historyczny wstęp do następnego artykułu.

Otwierając przed kilku miesiącami niniejszy dział t. z. wstępnych artykułów w piśmie nászém, przeznaczyliśmy go głównie na traktowanie najważniejszych czasowych kwestji domowych, nie zarzekając się jednak zabierania niekiedy głosu w sprawach obcych, o ile te mają ogólne historyczne i społeczne znaczenie.

Ważną taką sprawą, która wywrze prawdopodobnie wielki wpływ na losy wszystkich społeczeństw, jest coraz to widoczniejszy zwrot umysłów ku legitymizmowi i przygotowująca się restauracja królewskiéj rodziny Burbonów we Francji.

O ile możności bezstronnie i spokojnie rozbierzemy ważną tę sprawę w następnym numerze Tygodnika. Dziś zaś podajemy krótką i ogólną informację dotyczącą losów rodziny Bourbon i wzajemnego stosunku żyjących dziś jéj członków. Będzie to pewien rodzaj historycznéj notatki, któréj podanie, o ile z prywatnych rozmów i czytania dzienników wnosimy, nie będzie bynajmniéj zbyteczne.

Począwszy od północnych stoków Owernji rozciąga się żyzny i w kopalnie bogaty kraik, który za dawnego administracyjnego podziału Francji nosił miano prowincji Bourbonnais, dziś zaś stanowi część składową kilku departamentów. W dzisiejszym departamencie Allier leży małe miasteczko Bourbon-l'Archambault z ruiną starożytnego zamku, gniazda rodziny, która w historji świetną odegrała rolę.

Nazwisko Burbonów spotyka się po raz pierwszy na kartach dziejów X wieku, rodzina ta jednak wywiera w linji męzkiéj już w wieku XII w osobie Archambaulta VII, którego prawnuczka po kądzieli Beatryca zaślubiwszy w 1272 r. hr. Roberta de Clermont, szóstego syna św. Ludwika, łączy dom Burbonów z domem panujących Kapetyngów i odmładza podupadające rodowe drzewo. Syn Roberta i Beatrycy Ludwik, wyniesiony został w 1315 r. przez Karola IV do godności książęcéj (duc) i rozpoczął książęcą linję Burbonów, która wygasła w 1505 r. Oprócz téj głównéj linji otworzyło potomstwo Ludwika linję młodszą de la Marche, wymarłą w 1438 roku, linję de Montpensier, wygasłą w r. 1527 w osobie rozgłośnego Karola de Bourbon, konetabla Francji, który, jak wiadomo, poległ dobywając Rzymu, i nakoniec linję Vendôme, która ze swéj strony podzieliła się na linje Bourbon-Vendôme i Bourbon-Condé.

Pierwsza z tych dwóch ostatnich linji przeobraziła się w linję królewską Burbonów, istniejącą dziś jeszcze w osobie hr. Chambord, a to w następujący sposób: Po śmierci księcia Karola Vendôme w 1537 r. starszy syn jego Antoni ożenił się z Joanną d'Albret, jedyną dziedziczką królestwa Nawarry, syn zaś ich Henryk ożeniony

z Małgorzatą, córką Henryka II de Valois, osiadł po śmierci brata żony, Henryka III, ostatniego z dynastji Valois, na tronie francuzkim, pod imieniem Henryka IV.

Co do linji Bourbon-Condé, to ta utworzoną została przez młodszego syna Karola de Vendôme, Ludwika, stryja Henryka IV. Z linji tej pochodził słynny wódz Kondeusz, współzawodnik Sobieskiego o koronę polską, ostatnim zaś jéj potomkiem był ks. d'Enghien, zamordowany na rozkaz Napoleona 1804 r. w Vincennes.

Boczną gałęź linji głównéj Vendôme stanowili książęta de la Roche-sur-Yvon et de Montpensier, wygaśli w r. 1608.

Wyjaśniwszy w krótkich słowach historję Burbonów do chwili, kiedy główna ich linja osiadła na tronie francuzkim, pozostaje nam jeszcze przypomnieć jak powstały trzy inne panujące we Włoszech i Hiszpanji linje Burbonów i młodsza linja francuzka, zwana Orleańską.

Od Henryka IV ciągnie się prosta linja Burbonów aż do Ludwika XIV. Od jego wnuków dopiéro, Ludwika Delfina i Filipa V, dzieli się na starszą czyli francuzką i młodszą czyli hiszpańską linję, reprezentowane dziś przez hr. Chambord i don Carlosa.

Filip d'Anjou, założyciel linji hiszpańskiéj i żona jego Elżbieta parmeńska, utorowali drogę młodszym swoim synom do następstwa po wygasających rodach Farnese i Medicis, tak, że że syn ich don Carlos zapanował nad księstwami Parmy, Piacenzy i Toskanji a następnie zdobył siłą oręża królestwo Obojga Sycylji. Po wojnie o sukcesję austrjacką Parma i Piacenza dostały się don Filipowi, młodszemu bratu don Carlosa, ten zaś wstąpiwszy na tron hiszpański po śmierci Ferdynanda VI, królestwo Obojga Sycylji odstąpił najmłodszemu bratu don Ferdynandowi.

W ten sposób powstały cztery panujące domy Burbonów, które traktatem z 1761 roku zagwarantowały sobie wzajemną pomoc i nietykalność posiadłości.

Pozostaje nam jeszcze wzmianka o linji orleańskiéj, reprezentowanéj dzisiaj przez hr. Paryża. Linja ta założoną została przez Filipa d'Anjou, brata Ludwika XIV, wyposażonego przez tego monarchę księstwem Orleanu. Oprócz tego otrzymał Filip księstwa Valois, Chartres, Nemours i państwo Montargis, następnie zaś odziedziczył księstwo Montpensier i tym sposobem położył podwalinę do niezmiernych bogactw familji orleańskiéj.

Potomstwo tego Filipa idzie w prostéj linji po mieczu do Ludwika-Filipa-Józefa, znanego pod mianem obywatela Egalité, którego syn z Adelaidy de Bourbon, córki księcia Penthièvre, Ludwik Filip, osiadł po złożeniu Karola X w 1830 roku na tronie francuzkim. Z żony swéj Marji-Amelji sycyljańskiéj zostawił Ludwik-Filip pięciu synów, z których najstarszy Ferdynand książę Orleanu († 1842) ozeniony z ks. Heleną Mecklenburg-Schwerin, był ojcem Ludwika Filipa hr. Paryża (ur. 1838 r.) i Roberta ks de Chartres (ur. 1842 r.). Inni synowie króla Ludwika Filipa a więc stryjowie hr. Paryża żyją dotąd i z nazwiskami ich spotykamy się często w gazetach — są to: 1) Ludwik ks. Nemours, ojciec Małgorzaty ks. Czartoryskiéj, 2) Franciszek książę Joinville, 3) Henryk ks. d'Aumale i 4) Antoni ks. Montpensier. Oprócz nich istnieją jeszcze inni książęta orleańscy, a mianowicie: hr. d'Eu i książę d'Alençon, synowie ks Nemours; ks. Penthièvre, s n ks. Joinville i ks. de Condé, syn ks. d'Aumale.

Jak widzimy, młodsza linja Burbonów (Orleanów) licznie jest reprezentowaną, podczas gdy starsza, królewska linja francuzkich Burbonów wymrze prawdopodobnie na Henryku V, dzisiejszym hr. Chambord, który jest synem Karola Ferdynanda ks. Berry a wnukiem Karola X. Henryk V ur. w 1820 r. jest bezdzietny i dla tego aktem we Frohsdorf na następcę swego wyznaczył hr. Paryża.

Trudno przesądzać czy restauracja Burbonów we Francji będzie miała miejsce, w każdym razie jest to kwestja zasadniczo ważna i dla tego pomówimy o niéj w następnym artykule.

O wiecznym pokoju.

(Dokończenie).

Cóż wojna przyniosła światu za korzyści? Jakież było jéj znaczenie dawniéj i dzisiaj? A przedewszystkiém czém ona jest sama w sobie? Z jednéj strony jest źródłem potęgi i środkiem wywyższenia się jednych państw nad drugiemi, sławą okrywa imiona i tworzy wielkie talenta, które świat zadziwiają bystrością pomysłów i lwią odwagą w obec niebezpieczeństw, z drugiéj jest legalizacją tych czynów, które kiedyindziéj są zbrodnią, jak morderstwo, wzniecanie pożarów; burzenie cudzej własności i t. p. Jakże to zadziwiający jest stosunek w którym zbrodnia zbrodnią być przestaje, co więcéj, podnosi się do godności heroizmu. Nic innego, tylko podstawą tego stosunku jest znana zasada: iż cel usprawiedliwia środki. —

A jakiż to cel ma wojna przed sobą? Cóż świat przez nią zyskać zamierzył? — W tym względzie istnieje wielka różnica między starożytnym i nowożytnym światem. Nietylko bowiem dziś już jeniec wojenny nie staje się własnością szczęśliwego zdobywcy, a więc nietylko jest różnica sposobu prowadzenia wojny, ale przedewszystkiém istnieje różnica w zapatrywaniu się na jéj przyczyny. Dawniéj dzikie hordy dokonywały prosty na-

pad i nie pytając się o żadną przewodnią ideę, zmuszały do walki nic im nie winne plemiona. Dzisiaj przeciwnie; polityka i sumienie świata, jeśli mi się tak wyrazić wolno, czuwa nad tém, ażeby wojna miała godziwą przyczynę, a chociaż często bardzo jest ona tylko upozorowaną, to jednak zasada nie mniéj stoi w swéj mocy. Przed sądem historji, przed sądem wszystkich współczesnych i przyszłych pokoleń, według dzisiejszych pojęć rzeczy ta tylko wojna ma prawo do bytu, która jest obroną własnych praw lub praw uciśnionego narodu, to jest jedyne zadanie, jedyny cel wojny — bo w obronie praw dobrze nabytych miecz i ramie stanąć powinny. Ale jeżeli tak jest, to pytanie czy cel ten inną drogą osięgnąć się nie da? czy tylko oręż ma zawsze jak niegdyś węzeł gordyjski, tak dziś i na zawsze rozstrzygać spory narodów? Na to pytanie, w obec tego co nam historja i dzisiejsza polityka przedstawia, odpowiedzieć musimy: Nie! Kwestje polityczne, spory narodów, bardzo dobrze rozstrzygnąć się dają i w drodze polubownéj, bo przecież sama najnowsza sprawa chociażby Alabamy nas poucza, że właśnie kongres lub sąd polubowny może zastąpić rozwiązanie sporu bez udziału oręża, a nawet po tysiąc razy lepiéj stanąć w obronie praw rzeczywistych niżeli walka oręży, któréj rezultat zawisł zawsze od ślepego trafu i hazardu. Wojna tedy jako środek dochodzenia praw nie jest konieczną, bo ją polubowne środki daleko lepiéj i pewniéj zastąpić mogą. — Dawniéj wojna zbliżała do siebie daleko żyjące ludy i plemiona, dzisiaj kolej i telegram, handel i w ogóle ekonomiczne stosunki, a nadewszystko wymiana pojęć i to obcowanie duchów, ludzi całego świata w wielkim przybytku cywilizacyjnéj pracy, około ołtarza poświęconego bogini prawdy, piękna i dobra, zbliżają daleko lepiéj ludy, choćby ich siedziby dzieliła przestrzeń od bieguna do bieguna. Prócz tego, dawniéj wojna dająca pole okazania narodowi wyższości ich zasobów fizycznéj potęgi nad innemi, te właśnie bogate w nią ludy stawiała jakby na świeczniku świata i otwierała im pole do przewodniczenia w wielkim koncercie spraw świata. - Dzisiaj, świat inne zyskał pojęcia i do steru w cywilizacyjnych trudach powoła te ludy, które okażą wyższość pracy, a przedewszystkiém wyższość ducha. — Sądzą także niektórzy, ale sądzą błędnie, że wojna jest nieuniknioną i z tego względu, iż jest wypływem ustroju świata, a więc że przez nią przemawia duch boży. Życie i wszelki rozwój jest ciągłą walką wszystkich potęg i pierwiastków istnienia, walką, która je moży i przez czas zużywa, ztąd od czasu do czasu potrzeba gwałtownych wstrząśnień, któreby w zużyte pierwiastki nową wlały siłę i nową wznieciły w nich energję i potęgę. Jak w przyrodzie burza wstrząsa żywiołami świata, tak wojna wstrząsa gmachem politycznego i społecznego życia narodów i nową w nich obudza działalność, odradza je. — Tak sądzi wielu ludzi i mniema, że w ten sposób w wojnie widzą konieczność, nad którą czuwa potęga najwyższéj sankcji — woli Boga. Ale to jest smutna pomyłka. Życie ludów zużywa się przez czas — narody muszą odradzać, bo inaczéj starzeją się, to prawda; ale ażeby ich ciało odzyskało świéżość, żywotność i barwność, ażeby zrucić zeń trupią powłokę nie potrzeba krwi rozlewu, lecz można moralnym wpływem otworzyć oczy ludu na jego błędy i wady, ukazać lepsze życie obcego narodu i zachęcić do przyjęcia dobrego przykładu. Potęga prasy jest silną dzwignią, a emulacja w nauce, sztuce, przemyśle, handlu, urządzeniach prawnych, politycznych i społecznych, oświata wysoka, rozbudzenie cnoty obywatelskiéj, międzynarodowe wystawy dzieł pracy i t. p. tysiączne bezkrwawe że tak powiem środki, do tegoż samego d prowadzą celu, mogą odrodzić narody.

Tak tedy jakbądź rozważymy tę kwestję, wojna ani jako środek rozstrzygania sporów miądzynarodowych, ani jako element cywilizacyjny nie jest konieczną. Pytanie teraz tylko jakiemi środkami zabezpieczyć się przeciwko niéj tam, gdzie ona okazuje się być niezbędną, t. j. przy rozwiązywaniu sporów między państwami? Rozmyślało nad tém wielu ludzi i rozmyślał nad tém także i wielki myśliciel świata Kant i w téj mierze proponuje zachowanie: 1) t. z. negatywnych warunków, jakiemi są: a) nie zawieranie pokoju, któryby miał w sobie zaród przyszłéj wojny; b) nie przyłączanie jednego państwa do drugiego przez zamianę, darowiznę i t. p.; c) rozwiązanie wojsk stojących; d) nie mięszanie się do polityki wewnętrznéj obcego państwa; e) niedopuszczanie się zdrad, mordów i t. p. w czazie wojny. 2) Prócz tego za pozytywne już warunki uważa: a) żeby organizacja państw była konstytucyjną; b) ażeby państwa stanowiły federację i c) ażeby był nieustanny kongres międzynarodowy usuwający wyniknąć mogące spory. Kant wierzył w możliwość wiecznego pokoju w świecie, choć się obliczał z wielkiemi trudnościami jego realizacji. Kant wierzył w to, bo w duchu wielkiego swego systemu twierdził, iż narody dążyć powinny do tego, ażeby sprawiedliwość rządziła niemi nietylko wewnątrz ale i zewnątrz ich państwowego życia. Prócz tego dla realizacji idei wiecznego pokoju domaga się Kant, aby filozofów brano do rady w sprawach publicznych, ale nie jak chce Platon przez ich udział bezpośredni, lecz przez zostawienie im swobody słowa i pióra.

Oto jest sławna teorja wiecznego pokoju królewieckiego filozofa. Jest ona wiernym wyrazem jego ducha. Nosi na sobie piętno jego genjuszu ale i ślady wad ogólnego jego systemu. — Wielki ten myśliciel zapomniał, że nie same zewnętrzne łańcuchy skuwają ludzi, zapomniał, że te formalne środki, które on przedstawia, nie usuną wojny, że do tego głębszéj potrzeba poszukać podstawy.

Jakaż nią być może? Ogólna natura wojny. Cóż to jest wojna w najobszerniejszém znaczeniu? Objaw pewnego działania. Działanie zaś jest wypływem dążności działającego subjektu i pobudek do działania. Dążności te zaś są wyrazem jego charakteru. Cóż ztąd? Oto to, że ażeby wojnę usunąć, trzeba najprzód wyrobić w charakterze, w duchu, w sumieniu świata anti-wojenną dążność, a następnie potrzeba pobudki do wojny usunąć, ale najgłówniéj to pierwsze trzeba rozwiązać zadanie, bo ostatnie, a raczéj pogląd na nie, od pierwszego są zawisłe. — W jakiż sposób wyrobi się anti-wojenna dążność w narodach? Przez wyrobienie w nich saméj świadomości, iż wojna może dobre swe cele i dążności zastąpić innemi środkami, ale jéj okropności i klęski usunąć się nie dadzą. Ta głęboka i niewzruszona pewność usunie wojnę, bo jeszcze Sokrates powiedział trafnie: że wiedzieć co dobre, jest to chcieć dobrego i działać dobrze. My dla tego tylko źle działamy, że jesteśmy w błędzie, że złe jest dla nas dobrém, inaczéj nigdybyśmy źle działać nie chcieli. Gdyby wszystkie ludy miały tę niewątpliwą wiedzę, że wojna zawsze jest dla nich tylko nieszczęściem, wtedy wojna znikłaby ze sceny dziejowéj i te cele do których dziś dąży się przez walkę oręża, osięganoby w pokoju, przez sąd strony trzeciéj, wyrokującéj w imie honoru i sumienia. Ale czy przyjdzie kiedy chwila, w któréj narody posiędą tę wiedzę powszechnie, czy nigdy żaden z nich nie zechce zaufać szczęściu i potędze swego oręża? To są już pytania, na które przyszłość przyniesie nam kiedyś odpowiedź, my ją dziś zaledwie przeczuwać możemy. Natura ludzka jest tak ułomna, charakter woli ludzkiéj tak nieugięty, iż sądzić z dzisiejszego stanu rzeczy potrzeba, że nigdy nie przyjdzie do tego, ażeby narody zrzekły się miecza jako środka poparcia swoich roszczeń i dążności i nigdy zapewne nie stanie się, ażeby cała ludzkość do jednego doszła przeświadczenia, iż pokój tylko zapewni jéj szczęście. Sta, może tysiące kiedyś spraw międzynarodowych będą się załatwiać polubownie,

ale tysiąc pierwszy raz lud silny i nieugięty, dający sile przed prawem pierwszeństwo, powiedzie w pole swe zbrojne szeregi, aby wśród ognia i krwi strumieni zatknąć sztandary gdzie zechce, chociażby tylko pod tym pozorem, iż przez wojnę dąży właśnie do wiecznego pokoju, bo możliwość téj kombinacji sami nawet propagatorowie wiecznego pokoju (jak V. Hugo) przyjmują.

Wojna jest tedy ostatecznie nieuniknioną i jak słowo przekleństwa ciąży nad sklepieniem świątyni życia narodów. — Nie zastąpią jéj nigdy nawet międzynarodowe kongresy, bo w naturze jak i między ludami jest walka o byt, która przy nieustannych wynalazkach morderczych narzędzi, będzie coraz okrutniejszą. I w tém też choć smutném zjawisku jeden więcéj będzie powód do rzadkości wojny, bo coraz większe okrucieństwa tych walk czynić je będą prawie niemożliwemi i dla tego słusznie sądzą niektórzy, iż każdy nowy wynalazek morderczych broni jest jednym krokiem więcéj do wiecznego pokoju. Ale znów z drugiéj strony twierdzić nie można, iż w ten sposób ostatecznie on utrwalić się da w przyszłości. Walka, jako objaw egoizmu lub namiętności podrażnionych jest tak naturalnym faktem, jak wszystko co płynie z istoty człowieka. Ludzkość na ciągłą skazana jest walkę z wszystkiemi potęgami świata i sama z sobą. Wieczny pokój, o ile przy dzisiejszym stanie rzeczy sądzić można, nigdy się jéj nie stanie udziałem i chyba tylko na bramach cmentarzy to wielkie godło: Pax perpetua, wyryć można ze słusznością. Sądzić jedynie można, i to niech będzie pociechą dla serc zacnych i wzniosłych charakterów, iż wojny coraz rzadsze będą w przyszłości, ale i to tylko wtedy, gdy prawdziwa mądrość, rzetelna oświata rządzić będą na świecie, bo ona jest potęgą i przyszłością narodów, a przez nie i ludzkości całéj.

Dr. G. R,

HELENA.

Powieść Turgenjewa.

(Ciąg dalszy.)

XII.

— Za chwilę przybędzie tu ów bohater Insarow! zawołał patetycznie, wchodząc do saloniku Stachowów, w którym w téj chwili siedziała tylko Helena i Zoe.

— Kto? spytała Zoe po niemiecku W niespodzianych okolicznościach życia zwykła się była posługiwać ojczystym językiem.

Helena podniosła głowę. Szubin popatrzał na nią z filuternym uśmiechem. To ją zadrasło ale milczała.

— Słyszeliście, powtórzył — pan Insarow zaraz tu przybędzie.

— Słyszałam, odparła — i słyszałam także jak go nazwaliście. Istotnie, wprawiacie mnie w zdumienie. Jeszcze pan Insarow nie przestąpił naszego progu a już się sądzicie uprawnionym do żartów.

Szubin zmięszał się nagle.

— Macie słuszność, zawsze macie słuszność, Heleno Mikołajewno, bąknął, — ależ na Boga nie trzeba było nic złego dopatrywać w moich słowach. Przez cały dzień razem przechadzaliśmy się i zapewniam was, że to wyborny, jedyny człowiek.

— Nie pytałam was o to, rzekła Helena i powstała.

— Czy ten pan Insarow jest młody? spytała Zoe.

— Ma sto czterdzieści cztery lat, odrzucił Szubin gniewnie.

Służący oznajmił przybycie obu przyjaciół, którzy też weszli do pokoju. Bersenjew przedstawił Insarowa. Helena prosiła ich aby zajęli miejsca i sama usiadła, Zoe zaś poszła na górę zawiadomić Annę Wasilewnę o przybyciu gości. Zawiązała się nic nieznacząca rozmowa, jak to zwykle bywają wszelkie przedwstępne rozmowy. Szubin z kąta pokoju bawił się w postrzegacza, choć nic nie dawało mu pola do spostrzeżeń. W Helenie tylko dostrzegł powstrzymywany przeciw niemu gniew — i to było wszystko. Przyglądał się Bersenjewowi i Insarowowi i jako artysta-plastyk robił porównania. — Obaj, myślał, — nie są zbyt piękni; Bułgar ma twarz charakterystyczną, posągową; ot, teraz na przykład dobrze jest oświetloną; twarz Rosjanina nadaje się raczéj do pendzla; tam nie ma rysunku, linji, ale ileż wyrazu, ileż tego co stanowi fizjonomję. Choć niepiękni, przecież każdy z nich może się stać przedmiotem miłości. Ona dotąd jeszcze żadnego z nich nie kocha, ale wkrótce pokocha Bersenjewa — rozstrzygnął.

Anna Wasilewna weszła do pokoju i rozmowa przybrała czysto wiejski obrot; wiejski, choć nie gospodarski. Była to różnobarwna rozmowa względnie do ogromnéj liczby poruszonych kwestji, które co trzy minuty krótkie ale dość uciążliwe oddzielały pauzy. — Podczas jednéj z takich chwil milczenia zwróciła się Anna Wasilewna do panny Zoe. Szubin pojął to nieme skinienie i skrzywił się strasznie gdy Zoe przystąpiła do fortepjanu aby odegrać i odśpiewać cały swój zwykły repertoar. Z po za drzwi ukazał się i Uwar Iwanowicz, ale poprzestał na kurczowém poruszeniu palcami w powietrzu, poczém sié oddalił. Następnie przyniesiono herbatę, po któréj całe towarzystwo obeszło ogród do koła... Na dworze już się ściemniło, goście się pożegnali.

Insarow rzeczywiście mniéj na Helenie zrobił wrażenia, niż się tego spodziewała, nie wywarł on na niéj wrażenia, o jakiém marzyła. Twarz jego, prostota i swoboda obejścia podobały się jéj wprawdzie, ale cała ta jego postać w swym niezmąconym spokoju i codziennéj, powszedniéj niemal prostocie nie chciała jakoś żadną miarą przystać do owego obrazu, który na tle opowiadań Bersenjewa stworzyła sobie jéj wyobraźnia. Helena nie zdając sobie z tego sprawy, szukała czegoś „fatalistycznego“, czegoś nadzwyczajnego w téj twarzy. — Dziś, myślała sobie, — mówił tak mało, i moja własna w tém wina, nic go nie pytałam, nie starałam się go wybadać; czekajmyż do przyszłego razu... ale oczy ma wyraziste i takie czyste, uczciwe. Czuła, że nie chce przed nim uchylić głowy, ale równocześnie wahała się i rękę do przyjacielskiego wyciągnąć uścisku: nie takimi jak Insarow byli jéj snów „bohaterowie.“ Przy tym wyrazie przypomniał jéj się Szubin i leżąc już w łóżku zapłonęła jeszcze gniewem.

— Jakże wam się podobali nowi znajomi? spytał Bersenjew Insarowa powracając do domu.

— Podobali mi się bardzo, zwłaszcza też córka, brzmiała odpowiedź Insarowa. — Prawdziwie, cudna dziewczyna! Znać w niéj wzruszenie, wewnętrzny jakiś niepokój, ale ten niepokój jest szlachetnym.

— Musicie częściéj bywać w tym domu, zauważył Bersenjew.

— Tak, muszę, odrzekł Insarow i nic już nie mówił aż do samego domu.

Zaraz też zamknął się w swoim pokoju, a światło jaśniało w jego oknie długo jeszcze po północy.

Bersenjew nie przeczytał całéj strony w Raumerze,

gdy ze dworu rzucono garść drobnego piasku w szybę jego okna. Zadrżał mimowolnie, wstał i otworzył okno; w oknie stał Szubin blady jak chusta.

— Ach ty, duchu niepokoju! Ty nietoperzu! wołał Bersenjew.

— Pst! przerwał Szubin, — przyszedłem do ciebie tajemnie jak Max do Agaty. Chciałbym koniecznie z tobą pomówić kilka słów w cztery oczy.

— To wejdźże.

— Nie, to niepotrzebne, odrzekł Szubin i wsparł się o ramę okna, — tak, to weseléj i bardziéj na sposób hiszpański. Naprzód muszę ci powiedzieć: papiery twoje poszły w górę. Twój wysławiony, okrzyczany, nadzwyczajny człowiek przepadł z kretesem, za to mogę ręczyć, i aby ci dać dowód méj bezstronności, pozwól że ci podam listę znamion szczególnych pana Insarowa: talentów — żadnych; poezji — mniéj jeszcze; zmysł pracowitości — znakomicie rozwinięty; pamięć — olbrzymia; rozum niewielostronny i niegłęboki ale zdrowy i bystry; trzeźwość pojęć, siła rozumowania a nawet dar słowa, skoro rozmowa zejdzie na tę jego, mówiąc nawiasem, wysoce nudną Bułgarję. No, jakże? cóż ty mówisz? czym niesprawiedliwy? Jeszcze jedna uwaga: nigdy z nim nie staniesz na tak przyjacielskiéj stopie, abyś mu mówił po imieniu i nikt nigdy tak z nim nie stanął. Ja, jako artysta, jestem mu wstrętnym, i z tegom dumny. Oschłym on jest, oschłym a przecież nas wszystkich zdołałby na proch zetrzeć. Zrósł się z swym krajem, — to całkiém inaczéj jak ci nasi ludofile, ci pseudo-demokraci, którzy się liżą ludowi i pochlebiają: chódź, zlej się z nami, pełny życia strumieniu! Zresztą zadanie jego jest łatwiejsze, prostsze: chodzi tylko o wypędzenie Turków z kraju, drobnostka! Wszystkie te zalety przecież nie podobają się, chwała Bogu, kobiétom. To ich nie nęci, nie czaruje — jak mnie lub ciebie!

— Czemuż mnie w to mięszasz? mruknął Bersenjew. — A potém nie masz słuszności: nie jesteś mu bynajmniéj wstrętnym a rodacy jego mówią mu ty, sam to słyszałem.

— To całkiém co innego! W ich oczach jest on bohaterem; ale ja, wyznam, inaczéj sobie przedstawiam bohaterów; bohater o wymowie nie powinien miéć pojęcia; bohater ryczyć powinien jak bawół rozjuszony, ale za to mury zapadają się pod każdém uderzeniem jego rogów. On zaś sam winien nie wiedzieć dla czego uderza. Być może, że za dni naszych żądają bohaterów innego pokroju.

— Cóż cię tak bardzo Insarow zajmuje? spytał Bersenjew. — Czyś na to tylko przebiegł ten kawał drogi aby mi skreślić jego charakter?

— Przybiegłem tu, bo mi dziwnie smutno było w domu.

— Proszę! Może ci tak smutno, że mógłbyś znowu zapłakać?

— Żartuj! ale ja uciekłem tu sam przed sobą; wierz mi, mógłbym gryźć palce tak mnie trawią rozpacz, gniew, zazdrość na przemiany...

— Zazdrość? — Któż jéj powodem?

— Ty, on, każdy wreszcie. Mnie dręczy myśl ta bezustannie, że gdybym ją był pojął wcześniéj, gdybym... Ale pocóż tu słowa! Końcem tego będzie, że dopóty będę żartował, błaznował, stroił grymasy, jak ona mówi, — aż wreszcie zobojętniały na wszystko w łeb sobie palnę.

— Co tego, to chyba nigdy nie zrobisz, zauważył Bersenjew.

— No — w taką noc pewnie nie; ale czekaj aż jesień nadejdzie. Ach! szczęście! Z każdéj smugi cienia, którą drzewa rzucają na drogę zda mi się, że słyszę szept: „Wiem, gdzie jest szczęście... chcesz, to ci powiem tę tajemnicę?“ Namówiłbym cię, abyś poszedł przejść się ze mną, ale jesteś dziś jakoś w prozaicznym nastroju; śpij więc i obyś w snach twych widział same matematyczne figury! Mnie dusza rwie się na szmaty. Wy, panowie mędrcy, widzicie człowieka w kontorsjach śmiechu i myślicie, że mu w sercu tak wesoło! — dowodzicie mu jak na dłoni, że przeczy sam sobie i sądzicie, że tém samém on cierpieć nie może — niech was djabli biorą!

Szubin szybko opuścił okno — Bersenjew chciał za nim zawołać: Annuszka! — ale się powstrzymał, bo twarz Pawła rzeczywiście całkiém była zmienioną. W kilka minut potém zdało mu się nawet, że słyszy łkanie, wstał, otworzył okno; ale w około była cisza zupełna, zdala tylko dobiegł go przeciągły, smętny dźwięk wieśniaczéj piosenki.

XIII.

W przeciągu pierwszych dwóch tygodni po osiedleniu się w sąsiedztwie Kuncowa był Insarow u Stachowów z cztery lub pięć razy; Bersenjew za to bywał tam co trzeci dzień. Helena za każdym razem przyjmowała go radośnie, za każdym razem zawiązywała się między nimi zajmująca rozmowa i za każdym razem przyszły profesor powracał do domu z coraz smutniejszą twarzą. Szubin prawie wcale się nie ukazywał; z gorączkową, febryczną jakąś pracowitością oddał się sztuce; to całemi dniami siedział zamknięty w swym pokoju, zkąd na chwilę zaledwie wychodził w bluzie zawalanéj gliną, to znów dnie całe przebywał w Moskwie w swéj pracowni, do któréj schodziły się modelki i włoscy formiarze statuetek, jego towarzysze i nauczyciele. Helenie nie udało się ani razu pomówić tak z Insarowem jakby była chciała; gdy go nie było, przyrzekała sobie, że go o niejedno musi zapytać; gdy przyszedł jednak wstydziła się sama przed sobą tych długich przygotowań; jego spokój ją mięszał, zdało się jéj, że nie ma prawa wdzierać się w jego tajemnice i postanawiała czekać; mimo to po każdych jego odwiedzinach, choć zwykle niewiele słów z sobą zamieniali, czuła, że ją coś coraz, coraz to więcéj do niego ciągnie; nigdy jednak dotąd nie pozostali sami, — a wiadomo, że aby kogoś poznać bliżéj, trzeba bodaj raz jeden mówić z nim bez świadków. Z Bersenjewem natomiast mówiła o nim wiele. Andrzej Piotrowicz widział dobrze, że jéj imaginacja zajętą była Insarowem, i cieszył się z duszy, że jego przyjaciel nie „przepadł“, jak utrzymywał był Szubin; z zapałem opowiadał jéj aż do najdrobniejszych szczegółów co o nim wiedział i czasem tylko gdy bladą twarz Heleny lekki przebiegł rumieniec, gdy jéj oczy ożywiły się niezwykłym blaskiem i szerzéj otwarły, jemu serce ściskało się smutkiem, znanym mu już dobrze z dni ostatnich. Raz Bersenjew przyszedł do Stachowów w niezwykłéj porze, rano, około jedenastéj. Helena wyszła naprzeciw niego do saloniku.

— Wyobraź sobie pani, rzekł do niéj z wymuszonym uśmiechem, — nasz Insarow zniknął bez wieści.

— Co, zniknął? spytała Helena.

— Tak, znikł. Przedwczoraj wieczorem wyszedł z domu i dotąd jeszcze nie powrócił.

— I nie powiedział wam gdzie idzie?

— Nie.

Helena usiadła.

— Prawdopodobnie wyjechał do Moskwy, rzekła, starając się przybrać pozór obojętności; równocześnie dziwiła się sama, czemu się na tę obojętność sili.

— Nie sądzę, odrzekł Bersenjew. — Nie sam dom opuścił.

— Z kimże więc?

— Przedwczoraj przed południem przyszło do niego dwóch nieznanych ludzi; niezawodnie jego rodacy.

— Bułgarzy? na czemże opieracie to przypuszczenie?

— Ponieważ, o ile mogłem usłyszeć, rozmawiali nieznaném mi wprawdzie, ale w każdym razie sławiańskiém jakiémś narzeczem... Wy, Heleno Mikołajewno, nie chcieliście się nigdy dopatrzeć tajemniczości w Insarowie; cóż może być więcéj tajemniczego jak te odwiedziny? Wystaw sobie pani: wchodzą do jego pokoju... potém następują krzyki i kłótnie, a tak dzikie, tak zacięte... I on także się uniósł.

— I on także?

— I on. Gromił ich ostro... Zdawało się, że jeden z nich oskarża drugiego. A gdybyście byli widzieli tych gości! Spalone, poczerniałe twarze, ponure spojrzenia, nosy jastrzębie, obaj mieli po lat przeszło czterdzieści, nędznie odziani, grubą warstwą kurzu okryci, oblani potem; z pozoru sądząc byli to rękodzielnicy... a może i nie... w każdym razie jednak nie należeli do klas ukształconych... Bóg wie co za jedni.

— I to z nimi wyszedł?

— Tak. Nakarmił ich i poszedł z nimi. Gospodyni opowiadała mi, że obaj ci nieznajomi sami na siebie spożyli z prawdziwie wilczym apetytem olbrzymi garnek kaszy.

Helena uśmiechnęła się lekko.

— Zobaczycie, rzekła — że rozwiązanie całego tego zajścia będzie bardzo prozaiczne.

— Daj Boże! Niesłusznie jednak użyliście tego wyrazu; w Insarowie nic nie ma prozaicznego, choć Szubin twierdzi...

— Szubin? przerwała Helena i wzdrygnęła ramionami. — Ale przyznajcie, że ci dwaj panowie pochłaniający garnek kaszy...

— I Temistokles jadł w przededniu bitwy pod Salamis, zauważył Bersenjew z uśmiechem.

— Słuszna uwaga; ale za to stoczono nazajutrz walną bitwę. Powinnibyście przecież dać mi znać skoro powróci, dodała Helena starając się nadać inny zwrot rozmowie — co jéj się jednak nie udało. Zoe weszła do pokoju i przechadzając się po nim na palcach, tém samém dała poznać, że Anna Wasilewna jeszcze się nie zbudziła.

Bersenjew się oddalił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Poufne listy o szyku poznańskim.

II.

Poznań dnia 18 października 1873 r.

Kochany Redaktorze!

Mam nadzieję, że piękne czytelniczki, — pewny jestem, że wszystkie są piękne, — ze złośliwą oczekują radością dalszéj serji listów poufnych. Pozwala mi o tém marzyć przynajmniéj zwykła pewność i próżność autorska. W pierwszym liście mówiłem o Was, piękne panie, i, przyznajcie, nie byłem pochlebcą. Jesteście więc ciekawe zapewne, co też powiem o płci nie tak pięknéj; nie sądzicie, bym ją bronił i chwalił. Tak jest, — o płci męzkiéj chcę mówić i oszczędzać jéj nie mam powodu. Rzecz prosta, że nie wszystkim mam prawo nastawać na skórę, schylam głowę przed wiekiem poważnym, lecz młodzieży nie daję pardonu. Sprawię Wam przyjemność, moje piękne panie, znam ja Wasze okrutne serduszka.

Działo się to w roku bieżącym na jednym z balów w Bazarze. Zmęczony szaloną galopadą rzuciłem się na czerwoną kanapkę obok krzesła panny Heleny. Znasz ją, kochany Redaktorze, z niefortunnéj gadającéj herbatki. Przyznam Ci się z zupełną szczerością, chociaż urość ztąd mogą ploteczki, że mam do niéj szczególną sympatję. Jest to dobra i miła panienka, naturalna, bez żadnych przydatków. Już to sztuczność, pozowanie na efekt, lafiryndyzm wszelkiego rodzaju wzbudzają we mnie niesmak i próżnię; zająć mnie tylko może kobiéta, która nie w jakichś sztucznych dodatkach, ale w zasobach umysłu i w zaletach serca szuka warunków uznania, która ceniąc się i ufając saméj sobie, gardzi maską i próżném świecidłem. Jeśli z Was która, moje piękne panie, zechce mi narzucić słodkie swoje jarzmo, niechaj pewnego użyje oręża, który sam nierozważnie podaję.

Lecz powróćmy do panny Heleny, do rozmowy na balu w Bazarze.

„Co też pani sądzisz o zebranéj na balu młodzieży?“ zapytałem bez wstępów ogólnych, chcąc od razu po staréj znajomości przejść do szczeréj a głębszéj pogawędki.

„Wyznam panu, nie unoszę się nad nią.“

„I jakież są pani zarzuty?“

„Młodzież ta nie ma dla nas względów, jakich żądać słuszne mamy prawo. Nie sądźże pan, abym chciała średnie wskrzeszać wieki, widzieć młodzież w turniejowych zapasach o względy ubóstwianych piękności. Dla mnie, powiem panu, taki rycerz błędny w nowożytnéj szacie jest po prostu nudnym, nieznośnym. Znam ja takich panów, którzy panien na krok nie odstąpią, prawią im nieustanne słodycze, silą się na zajmujące rozmowy, nastrojone na ton jakiś wzniosły, którzy na każdą czyhają sposobność wyświadczenia tysiącznych grzeczności i z tego starania się o względy, bawienia dam na balach, wieczorach robią zawód bez dalszych widoków, poświęcają tym zabawkom piękne lata młode, pasując się na rycerzy salonów, na podbijaczy serduszek. Znasz i pan podobnych szarmantów i wiesz, że są nudni, ckliwi, nieznośni, natrętni, że tracą w oczach naszych wszelką godność męzką, spadając do poziomu zabawek, na równi z papugą i pieskiem, że są zawsze przedmiotami pozaocznych śmiechów, że na te konfiturki ich westchnień i słówek dają się tylko schwycić ciaśniejsze umysły, bo dla każdéj kobiéty rozsądnéj widoczna po za tą maską słodyczy nicość myśli i brak charakteru. Otóż zbytek grzeczności i względów to ostateczność bolesna i śmieszna, któréj widzieć w młodzieży nie pragnę. Ale młodzież nasza wpada w drugi extrem, który również jest smutnym objawem.

„Jakto? — zapytałem niespokojny, chcąc stanąć w obronie zastępu, do którego należeć mam zaszczyt, — czyliż pani chcesz jéj zarzucić, że jest wręcz niegrzeczną, bezwzględną, że jéj brak wychowania, ogłady?“

„Zarzucam jéj przedewszystkiém samolubstwo i ociężałą wygodę. Spojrzyj pan, galopada skończona, gdzież jest zastęp grzecznéj młodzieży? Stoją gdzieś przy ścianach, po kątach, siadają na wygodnych kanapach i prowadzą między sobą rozmowę. Czyliż nie jest ich kardynalnym obowiązkiem uprzyjemniać nam pauzy rozmową? Ale przyznasz pan, że do rozmów podobnych, zwłaszcza jeśli zająć nas mają, potrzeba natężenia umysłu. Mówić płytkie frazesy to łatwo, lecz wydobyć z siebie myśli iskierkę, na to pewnych potrzeba wysileń, a panowie nie lubią trudności. Nie sądź pan, abym od nich żądała jakich rozpraw uczonych na balu, uczoność w towarzystwie jest nudną, chcę tylko aby w naszych roz-

mowach było jakieś zajęcie dla ducha, jakiś dowcip, myśl lekka, powabna. Niech się rozmowa swobodnie przesuwa z przedmiotu na przedmiot, niech w głąb wchodzi, niech się czepia powierzchni stosownie do nastroju umysłów, lecz niech wejdzie nad poziom czczych słówek. Panowie nas macie za lalki, którym tylko prawić można frazesy; utworzyliście z umysłu to pojęcie, aby własną usprawiedliwić ociężałość. W każdym razie poprobować nie szkodzi. Spojrzyj pan, ile tu panien poziewa za kurtyną wachlarza, dla czegoż tak niewielu z młodzieży stara się je zabawić rozmową, dla czegoż cały zastęp gdzieś siada po kątach? Nie jestże to ociężałość, wygoda?"

Słuchałem téj panieńskiéj perory pół z uśmiechem dla ratunku pozorów, pół z poważném uczuciem pokory, jaką budzi w nas pewność porażki. Panna Helena bardzo była względną, gdyby mnie zapytała po prostu: gdzież jest większa część tych młodych panów? tylu ich tu widziałam wśród tańca, teraz ledwo część czwarta została, — byłbym musiał kapitulować, zawrócić, zmienić zręcznie przedmiot rozmowy. Przecież niepodobném byłoby wyznać otwarcie przed panną, że się młodzież po bufecie rozbiegła, że szampanem ugasza pragnienie, że się dymem cygara nasyca, że przenosi ten rodzaj zabawy nad rozmowę w gronie tylu piękności. Powiesz pewnie, że przesadzam, Redaktorze. Bądź raz jeden gospodarzem na balu, a przekonasz się o ogładzie młodzieży. Będziesz musiał z bufetu przepędzać paniczów do sali, będziesz musiał natomiast niejednych wstrzymywać od dalszéj zabawy i orzeźwiać szklankami herbaty. Tylko proszę Cię, zaklinam, Redaktorze, nie wykreślaj mi powyższych ustępów. W obec panny byłem bardzo milczącym, ale w obec szykownych paniczów nie chcę prawdy obwijać w bawełnę. Moi panowie, powiem im bez wstępów, wy umiecie ukłonić się zgrabnie, poruszać się swobodnie w salonach, palnąć kilka francuzkich frazesów, nadać sobie pozór wykształcenia, wy możecie podobać się zewnętrznie, za szykownych uchodzić paniczów, ale w was siedzi po za maską szyku dusza nieukształcona i gburna, która się zdradza niekiedy w chwilach wyższego ciepłostanu pociągiem do nieszykownych namiętności; lekka warstwa elegancji i szyku topnieje w tych chwilach cieplejszych a po za nią ukazuje się światu wrodzona Wam niegrzeczność i gminność. Szyk właściwy, kochani panowie, nie zasadza się na przylepianych pozorach, lecz na uszlachetnieniu umysłu i serca, uzacnieniu całéj swéj istoty. Wykorzeńcie ze siebie, panowie, popędy nieszlachetne, niełodne, okrzesajcie tak wasze natury, by czułemi były na wszystko co tylko trąci gminnością, a ta cała ujmująca zewnętrzność naturalnym będzie tylko wypływem wewnętrzności szlachetnéj, podniosłéj, nie odpadnie za lada odwilżą, bo stanowić z nią będzie całość jednolitą. Zdołacie to osięgnąć nauką, gruntownem wykształceniem umysłu.

Lecz wróćmy znów do panny Heleny, do rozmowy na balu w Bazarze.

„Przyznasz pani, — odparłem po chwili, czując nieodzowność jakiéjś odpowiedzi, — że tym panom należy się chwil kilka wypoczynku po trudach balowych. Tańczą biedni godzinę bez przerwy, niepodobna im natychmiast po tańcu bawić damy dowcipną rozmową, po fizycznych bezpośrednio wysileniach przejść do cięższych wysileń umysłu."

„Masz pan słuszność, że przy trybie podobnym, jakim dzisiaj odbywają się bale, wymaganie to trochę niesłuszne. Ale błąd leży właśnie w pojęciu, w urządzeniu balowéj zabawy, ciężar winy zaś na was spoczywa. Bale te są dla mnie dowodem, — wybacz mi pan śmiałość zbyteczną, — że panowie słabe macie pojęcia o ogładzie towarzyskiéj, o szyku. Spojrzyj pan, oto polka się zbiera. Młodzież stoi przy drzwiach gromadnie, panny wieńcem siedzą w koło sali. Dla czegoż ci panowie nie zbliżą się do nas, dla czegoż nie rozsypią się po sali? Przecież to niegrzecznie i śmiesznie trzymać się tak wejścia do sieni, stać tak przy drzwiach całym szeregiem, jak gdyby za oddzielną barjerą i spoglądać na panny zdaleka z braku chęci zbliżenia się do nich, lub z dziwnego braku odwagi. Pan Ignacy, biedny gospodarz, chce rozpędzić, rozruszać tych panów. Otóż polka, uważaj pan, proszę Panowie jeden po drugim wysuwają się zwolna z szeregu, raz i drugi przetańczą wzdłuż sali, podziękują ukłonem tancerce i wracają znowu do sieni. Przyznam się, że mam inne o zadaniu balów pojęcie. Nie schodzimy się tutaj na to tylko, ażeby przez sześć, siedem godzin używać ruchu przy tańcach, przyjemność to nadto dziecinna, przyjemność krajowców australskich, niegodna oświeconych społeczeństw. Dla nas główną być powinno zabawą zbliżenie się, zapoznanie wzajemne, zawiązanie stosunków towarzyskich, wymiana spostrzeżeń i myśli, ta czysto duchowa przyjemność, jaką każdy znajdować powinien w przestawaniu wśród lepszych towarzystw. Taniec niechaj będzie łącznikiem, środkiem do zawierania stosunków mniéj sztywnych, wesołych, przyjaznych, taniec winien przeplatać, ożywiać, przedłużać umysłową zabawę, nie powinien być dla niéj przeszkodą, nie powinien zabierać jéj miejsca. Panowie nie dzielicie tych zasad, a przynajmniéj nie stwierdzacie ich czynem. Widzę tutaj dwie klasy młodzieży, dwóch odrębnych przekonań i gustów. Jedna z nich zabawia się tańcem, w nim znajduje przyjemność jedyną, tańczy więc bez myśli, bez miary i za świętą ma sobie powinność z każdą panną przetańczyć raz salę, tańczyć póki im skrzypek przygrywa. Od tych panów wymagać rozmowy byłoby barbarzyńskiém żądaniem, — panowie ci muszą w pauzach wypocząć, zaczerpnąć chłodnego powietrza. Lecz przyznaj pan, czy to szlachetna rozrywka, czy świadczy o dobrym guście tych panów, o zasadach towarzyskiéj ogłady? Podziwiaj pan tego pana ze szkiełkiem. Od kwadransa tańczy bez przerwy, otóż właśnie odprowadza tancerkę i sąsiadkę jéj prosi do tańca. Czyliż nas ten rodzaj zabawy nie powinien upokarzać, obrażać, czyliż na to jesteśmy na sali, aby panom tym dać sposobność do tańca, czyliż sądzą, że do lepszéj rozrywki nie mamy ochoty i zmysłu? Pan ze szkiełkiem przybliża się do nas, każe mi się zapewne przedstawić i natychmiast poprosi do tańca. Znajomość moja widocznie nie dla innych mu pożądana powodów, i ja z jego chwilowéj znajomości żadnych nie odniosę korzyści. Nie obawiaj się pan o koniec rozmowy, jestem pewną, że wrócę za chwilę."

Pan ze szkiełkiem przedstawił się, poprosił i posunął się po gładkiéj posadzce. Patrzałem na pannę Helenę i rozważając gruntownie jéj słowa, do końcowéj doszedłem konkluzji, że panna Helena jest trochę milutką sensatką, że rzecz bierze nadto poważnie, że zbyt wiele wymaga od ludzi, lecz że ogół jéj uwag jest słusznym, że dla naszych szykownych paniczów zbawienną być może wskazówką.

Pan ze szkiełkiem pojawił się znowu, podziękował pannie Helenie, przysunął jéj krzesło z ukłonem i podążył na przeciwny róg sali.

„Otóż jedna kategorja młodzieży, — przerwaną podjąłem rozmowę, — trafnie pani oceniłaś jéj grzeczność. Kogoż pani do drugiéj zaliczysz?"

„Do drugiéj zaliczam tych panów, których nic już zabawić nie zdoła. Stoją oto po rogach salonu, w zabawie nie biorą udziału, przyglądają się z wyrazem znudzenia, a jeżeli przybliżą się do nas, to z rozmową jakąś oschłą, cyniczną, którą tak od niechcenia prowadzą, dowodząc jéj rodzajem i tonem, jak mało dla nas mają szacunku, jak świat cały i nas lekceważą. Czy uwierzysz pan, że u téj młodzieży jest nawet odznaką i szykiem być dla kobiét ile można niegrzecznym. Pra-

wda, i kobiét w tém wina, — pobłażają niektórym z tych panów, a ztąd wzrasta szereg naśladowców.“

Panna Helena odmalowała wiernie w kilku słowach tę warstwę szykownéj młodzieży, któréj ty, kochany Redaktorze, nadałeś miano zdechlaków. Nie jest to jedno z pięknie brzmiących imion i dla tego może nie tak prędko ogólne pozyska uznanie. Winszuję ci jednakże pomysłu, — wyraz jędrny, malowniczy, dobitny. Jest coś w tych szykownych młodzieńcach, w tych twarzach pożółkłych, wybladłych, w tych oczach pozbawionych wyrazu, co ci trupią przypomina martwotę. Na widok téj młodzieży poziewasz, chciałbyś wzruszyć ich prądem elektrycznym i zawołać głosem gromkim nad uchem: „Poruszże się, zaśmiéj, rozmawiaj, stań na głowie, daj znak jakiś życia!“ Ale téj iskry prawdziwie żywotniéj, téj radości nad życiem i chęci do życia nie znajdziesz tam i w chwilach zabawy, w chwilach orgji, bachanalnych rozrywek. I w tych chwilach wyraz znudzenia, boleści, cierpienia nie zejdzie z ich twarzy, szał nie jest dla nich zabawą, lecz sposobem zabicia utrapień i czasu. O téj kategorji młodzieży nie chciałem rozmawiać z panienką, trzeba było myślom naszym inny nadać obrot.

„Pani jesteś ostrą, niepochlebną w wyrokach o naszéj młodzieży, ale przytém sprawiedliwą, bezstronną. Dla tego nie chcę przeciw pani posłużyć się bronią odwetu, chociaż mógłbym o grzeczności naszych panien niejedne poczynić uwagi. Skończmy raczéj krytyczną analizę jakim wnioskiem dodatniéj natury. Jakież pani przepisałabyś środki na słabość poznańskiéj młodzieży?“

„Otworzenie prawdziwych salonów, a zwłaszcza salonów literackich. Nie brak w Księstwie domów bogatych, niechże zimą osiedlą się w mieście, niech przyjmują młodzież zdolniejszą, rozbudzają umysłowe zdolności. Młodzież nasza przywyknie powoli do rozrywek szlachetniejszych, duchowych, a widząc, że umieć coś trzeba, ochotniéj się zabierze do pracy, aż ją w końcu polubi, ukocha. Pan pisujesz coś, panie Platonie, przyrzecz mi pan, że i o tém napiszesz, że zużyjesz treść naszéj rozmowy.“

Przyrzekłem, myśląc sobie w duchu, że milutka panna Helena jest może zbyt optymistką, że jednak nasza długa rozmowa na coś przydać się może publiczności. Rozmyślałem więc nad tem jak pisać i w jakiém to umieścić czasopiśmie. Myśli moje przerwał dźwięk kontredansa, zwróciłem się do rozmownéj sąsiadki, czyniąc jéj uwagę z uśmiechem, że tak długą umysłową zabawę przepleść tańcem koniecznie wypada. Nie wiem czy kiedy już w życiu tak miłego tańczyć będę kadryla, — ale o tém nie przyrzekłem napisać.

Otóż znasz, kochany Redaktorze, przyczynę powstania moich listów. Jeśli jeszcze zapragniesz ich kilka, poproś pięknie panny Heleny, by mnie nowym zaszczyciła rozkazem. Pierwszy spełniłem co do joty, nie wiem tylko czy z uznaniem publiczności, mogę więc z czystém sumieniem pióro położyć do biórka, uściskać Cię z lewéj i prawéj i polecić się nadal Twym względom.

Twój

Plato, amicus.

Przegląd literatury zagranicznéj.

Edward Lord Lytton Bulwer „Kenelm Chillingly, his adventures and opinions.“ Leipzig 1873. — Edition Tauchnitz.

Mamy właśnie pod ręką ostatni romans Bulwera, który wyszedł dopiéro po jego śmierci, a oczekiwanym był z wielką niecierpliwością przez publiczność angielską. — Obejmuje on cztery tomy — ale zdaje się, że powinien jeszcze być piąty, bo właściwie brak zakończenia.

Kenelm jest postacią zajmującą, szlachetną, lubo nie dość wydatnemi nakreśloną zarysami. Gdy skończył nauki w Oxfordzie, wrócił do rodziców — a świat, który poznał, znużył go niebawem. Ojciec jego, sir Peter, pragnął, ażeby podróżował. Kenelm tego téż pragnął, życzył sobie atoli zwiedzać świat jako pieszy wędrownik, a nie jako dziedzic bogaty. Chciał poznać świat inny i ludzi innych, zwłaszcza téż warstwy niższe. Powiedziawszy sobie: „Będę nieznanym, więc będę wolnym“ — dnia jednego jako wędrownik, w ubraniu pośledniém, nie mówiąc nic nikomu, zamek rodziców pożegnał. Pod obcém nazwiskiem żył pomiędzy mniejszymi farmer'ami (dzierżawcami), grabił pospołu z niemi siano, wywierał wpływ moralny, pouczał ich i dłoń hojną otwierał gdy tego była potrzeba. Pisywał przytém najczulsze listy do ojca, którego kochał i czcił całém uczuciem wzorowego syna.

W dalszym rozwoju opowieści wchodzi Kenelm następnie jako przyszły dziedzic dóbr Exmundham, baronet, lord, par, w towarzystwa wyższe. Bada wszystko i swoje opinje wygłasza. Ztąd wynikają przedługie rozmowy o przeróżnych przedmiotach, pełne obszernych refleksji — nie bez zajęcia, lecz niewłaściwe w powieści, którą przeciążają.

Przewidujemy świetne losy Kenelm'a. Przewidujemy, że w dalszém następstwie spełni wszelkie życzenia kochanego ojca — i że po śmierci idealnéj Lilly kochająca go, piękna, powabna i rozumna Cecylja Trawers wreszcie serce jego posiędzie. Oto wszystko, czego zwykli czytelnicy zwykle żądają, t. j. żeby Numa poszła za Pompiljusza.

Tajemnicą pozostaje dla czytelnika scena wieczorna na balkonie — któréj niedostrzeżonym świadkiem był Kenelm — pomiędzy wędrującym minstrelem a jakąś lady, którą Amalją nazywa. A scena ta i znaczący ułamek dosłyszanéj rozmowy zaciekawiają. — Wędrujący ten minstrel — śpiewak z głosem przecudnym, poeta i malarz znakomity, pięknéj urody i wyższéj umysłowości zajmuje wprawdzie, ale jest nieco za fantastyczną postacią. Późniéj dopiéro dowiadujemy się, że nazywa się Mr. Melwille. O Amalji jednakże nie dowiadujemy się niczego. — Nie wiemy także co stało się z małą Susy — z ładną dzieweczką with the flower ball — z bukietem kwiatów który rzucała ku niebu i chwytała z uwagą, wpatrując się w błękity. Sierotka spędzała długie godziny w polu, a zapytana: czy jéj w téj samotności nie tęskno? odpowiedziała: „Dopóki słońce świeci i kwitną kwiaty, to i nie tęsknie za nikim.“

Szczególniéj poetyczną jest śliczna Lilly. Lubiła najwięcéj bawić się z dziećmi — „bo przy nich czuła się bezpieczniejszą i bliższą Boga.“ — Chodowała motyle, które na jéj żywiły się dłoni — i twierdziła, że to nie są owady, ale dusze.

— Emblemata dusz — odrzekł jéj Kenelm — jak nam je przedstawiają Grecy.

— Nie, nie! zawołała poetyczna istota — to są dusze niemowlat, które bez chrztu w kołyskach umierają swoich. A jeżeli motylkami będąc przeżyją rok cały, przemieniają się w wieszczki (fairies). Możem to w książce wyczytała jakiéj, albo téż wyśniła. Po roku więc wypuszczam moje motylki z klatki, a nie powrócą już więcéj.

— Jakże ludzie mogą żyć w miastach — wymówiła razu jednego do Kenelma — jakżeż mogą narzekać, że im smutno jest na wsi?... Spojrzyj na świerk

ten wysoki, jak zwiesza długie swoje po nad strumykiem gałęzie. Patrz, jak powiew igra z niemi, zmienia cieni ich kształty i grę słonecznych promieni. Jakaż to urocza harmonja istnieć musi pomiędzy poetą a naturą!

Kenelm dotąd żadnéj nie pokochał kobiéty. O pięknéj i zajmującéj ze wszechmiar Cecylji Trawers wyraził się do pewnéj przyjaznéj mu lady: „Nie kocham jéj, lecz chciałbym w niéj być zakochanym.“ — Poznawszy jednak Lilly, powiedział sobie: „Od dawna nic nie podziwiałem, a teraz podziwiam. Jestże to miłość? Miłość prawdziwa?...“ I wreszcie dodaje: „Ona została królową moją.“

„Miłość“ — mówi Kenelm — „pojawia się jak wiosna: nikt daty obliczyć nie potrafi. — Ambicja następuje po miłości dopiéro — myśl rozumująca zastąpi serce namiętne.“

— Cóż nazywasz arystokracją? zapytano raz Kenelm'a.

— Przewagę lepszych — odrzekł. — W państwie niecywilizowaném lepszymi są obcy. W państwie zdemoralizowaném, wszeteczni; w nowych republikach posiadacze pieniędzy i prawnicy, jako materjalna i umysłowa potęga. W dobrze zorganizowaném państwie arystokracja prawdziwa właściwą jedynie ma ocenę. To jest: lepsi urodzeniem, bo poszanowanie dla przodków jest najwspanialszym sztandarem honoru; lepsi przez zamożność, bo zużytkować bogactwo swoje mogą w przedsiębiorstwach różnych, wspieraniu sztuk pięknych i t. p.; lepsi pod względem charakteru i zdolności, w państwie kwitnącém i wolném, przed wszystkiemi pierwszeństwo odniosą. — Te cztery klasy lepszych stanowią arystokracją rzeczywistą.

W inném znowu miejscu wyraża się: Nobility like genius, is inborn. (Szlachectwo zarówno jak genjusz są wrodzonemi).

Na ostatniéj stronnicy mówi do ojca, który już zwątpił o nim:

— Nie marzyłem, lecz powiedziałem sobie, że nadeszła chwila, w któréj dawny Kenelm z nowemi ideami zastąpi nowego Kenelm'a z ideami dawnemi. Bądź co bądź przechodzić musimy zawsze przez romans życia, zanim jego wielką życiową rzeczywistość poznamy. Już teraz nie będę się żalił, żem zobczał dla dążeń własnéj rasy. Namyśliłem się i poznałem, ile z nią mam wspólnego. Poznałem miłość — i poznałem boleść. — Hasłem mojém będzie stare: Victory or Westminster Abbey!

A ojciec ujął go w ramiona swoje i uradowany do serca przycisnął.

P.

TEATR.

Repertoar ubiegłego tygodnia nie przyniósł ani jednéj sztuki zasługującéj na obszerniejszy rozbiór, w kilku atoli mniéj lub więcéj udatnych komedjach i fraszkach mieliśmy sposobność poznać nieco bliżéj siły naszego personału i metodę reżyserji, do nich zatém odnosimy dzisiejsze nasze uwagi.

Salonowa fraszka „Takie one wszystkie“ nie jest niczém inném, jak świetném polem popisu dla dwóch wyrobionych artystek a więc wymaga gry wyrównanéj, płynnéj i przejęcia się na wskroś charakterem dwóch nieco dziwacznych kobiét. Komedyjka ta czy farsa powinna być graną koncertowo lub wcale pominiętą. Owoż tedy twierdzimy, że u nas stać się powinno to drugie. Panna Kwiatyńska (hr. Arnoulf) grała swoją rolę bardzo dobrze, wyglądała świetnie — ale to nie koncertowa dla niéj rola. Panna Bajerowicz (Sylvia), któréj w przeszłém sprawozdaniu oddaliśmy tyle zasłużonych pochwał, nie była tego wieczoru ani usposobioną, ani przygotowaną, — jéj bohaterka, która w 5 roku życia bawiła się z wężami, która kolibry z pistoletu w lot bije, nie miała ani trochę temperamentu i peruwiańskiéj werwy i nie znać było, że w niéj płynie krew Inkasów nie zaś Jukasów, jak kilkakrotnie zapewniała. Drobna to pomyłka a dla reżyserji wstyd wielki.

Tegoż wieczoru dawano „Żony płaczące“, komedję tłomaczoną równie jak poprzednia z francuzkiego. Panna Bajerowicz (Delfina) udatném przeprowadzeniem swéj roli pozwoliła nam zapomnieć niekorzystne wrażenia wywołane przez jéj Sylwię de Torellas.

Inne role a zwłaszcza Klotyldy (p. Kwiatyńska) i Chambly'ego (p. Cybulski) wykonane były zupełnie zadawalniająco.

Następny wieczór przyniósł odwieczną komedję Alfonsa Karra „Szpieg Bonapartego“, wykonaną tak niedbale i niedołężnie, jak się u nas nigdy jeszcze nie zdarzyło. Niektóre role a mianowicie Michała Perrin (p. Cybulski) i Fouche'go (p. Werner) odegrane były udatnie, p. Cybulski zwłaszcza był niezrównany. Role te jednak nie były w stanie zastąpić innych, zakryć niepomiernéj bezmyślności z jaką reżyserja sztukę tę wprowadziła na scenę. Niedorzeczne informacje i zupełny brak ensemblu, nieład i chodzenie aktorów samopas złożyło się, aby przedstawienie to zrobić nieznośném, drażniącém nerwy widzów. P. Bolesławicz grał rolę dyrektora tajnéj policji, robił zaś wrażenie najpodrzędniejszego sługi publicznego bezpieczeństwa — na domiar sławetny pan dyrektor oddawał się z całą zapamiętałością obgryzaniu paznogci, tak, iż większa część widzów odwracała się od sceny. Co to ma znaczyć? Cóż to za smorgońskie traktowanie sztuki? Zapewne p. Bolesławicz albo reżyserja wyczytali w jakim szpargale, iż dyrektor Desaunais miał ten brzydki nałóg — winszujemy téj głębokiéj erudycji, ale zastrzegamy się przed popisywaniem się tego rodzaju umiejętnością na scenie.

Jeżeli z wykonania pojedynczych ról i ze składu sił personału jesteśmy zadowoleni, to z drugiéj strony wyznać nam przychodzi, iż gra zbiorowa i cały układ sceniczny stoi niżéj krytyki. Bez umiejętności grupowania się na scenie, bez łączenia działalności pojedyńczych w jednę całość, bez estetycznego porządku na scenie, nie ma artyzmu a najlepsze nawet siły nie przedstawią się w należytém świetle, jeżeli są pozbawione umysłowego kierownictwa. O postawienie takiego kierownictwa usilnie dyrekcję prosimy.

Przedstawienie „Radców pana Radcy“, znanéj komedji Michała Bałuckiego, dzięki dobréj grze p. Cybulskiego (Dziszewski), p. Gajewicz (Ewa) i p. Wesołowskiéj (Eufrozyna), wypadło dość pomyślnie. Panna Biron (Helenka), któréj usiłowania i dobre chęci podnosiliśmy kilkakrotnie w przeszłym jeszcze roku, skorzystała od czasu jak jéj na scenie nie widzieliśmy pod względem pewności siebie i technicznego wyrobienia, natomiast nabyła jakiéjś szablonistycznéj maniery, która dla postępowego rozwoju jéj talentu silną stanowić będzie zaporę. Głos i ruchy zawsze też same jakby z urzędu, zawsze toż samo przekręcanie rąk i wyciąganie głowy przed siebie, toż samo podawanie się postaci z boku na bok. Zła to szkoła, która przepisuje uniwersalne recepty na role naiwnych panienek. Naiwność — niech nam p. Biron wierzy — to swoboda, to lekkość, to naturalność przedewszystkiém. Pannie B. uło-

żył ktoś widocznie formułkę naiwnéj roli i panna B. modeluje się podług niéj za każdym razem i zawsze jest tą samą osobą. Czas jeszcze poprawić się, zanim zimna rutyna zabije zapał i wdzięk naturalny.

W „Radcach“ wystąpił również po raz pierwszy p. Keller (Zdzisław). Dobry to materjał, warunki zewnętrzne nadają się wybornie do sceny — p. K. potrzebuje atoli dobrego informatora, umiejętnych wskazówek, inaczéj bowiem popadnie w błędy i prowincjonalne szarże, jak to miało miejsce w roli Zdzisława, który stworzony został przez p. K. na obraz i podobieństwo fryzjera-golibrody.

Ostatni z wieczorów objętych niniejszym referatem wypełniony został ładną komedyjką „Pożar w klasztorze“, w którym p. Biron (Adrjanna) bardzo udatnie skorzystała z popisowéj roli, aby nas przekonać, że miewa niekiedy szczęśliwe chwile, w których zapomniawszy o manierze, umie przejąć się sytuacją i charakterem odtwarzanéj osoby.

Znana operetka Souppe'go „Piękna Galatea“ zakończyła wieczór. W roli Ganimeda wystąpiła po raz pierwszy na naszéj scenie pani Bródkowska i zyskała od razu ogólny zasłużony poklask. Obszerna skala, swobodna intonacja i nader miły, metaliczny dźwięk głosu p. B. pozwalają nam mniemać, iż opera nasza zrobiła dobry nabytek. Radzibyśmy tylko widzieć więcéj werwy w figlarnym Ganimedzie. — Słyszeliśmy, iż „Piękna Galatea“ poszła na scenę niemal bez przygotowania, dla tego wstrzymujemy się od uwag nad resztą występujących osób do następującego przedstawienia. Dziś podnosimy tylko usilność dyrektora operetki pana Krzyszkowskiego, który istotnie z niepospolitą zręcznością na końcu swéj pałeczki trzymał równowagę chwiejącéj się bezustannie całości.

Niepodobna nam skończyć dzisiejszego przeglądu bez oddania należnych p. Horbowskiemu pochwał za odśpiewanie w międzyaktach podczas trzech wieczorów Cavatiny z Cyrulika Sewilskiego i kilku innych umiejętnie wybranych arji. Piękny jego i czysty baryton przedstawił się przy słabszym akompanjamencie w całéj okazałości i pozyskał powszechne uznanie, do którego się z przyjemnością przyłączamy.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
O
RZECZACH POLSKICH.

— Piszą nam z Wiednia:

Nie wkraczając w atrybucje korespondenta, donoszę, że powstała u nas myśl praktyczna i korzystna dla kraju, ofiarowania przedmiotów przesłanych z Galicji i Wielkopolski na wystawę wiedeńską, **nieustannéj wystawie** wszelkich płodów polskich w Muzeum Narodowém w Rapperswylu. Zamiast zmarnowania przedmiotów rolniczych lub innych po wystawie, zamiast poniesienia nowych kosztów dla tych, które mają być odesłane do kraju, czy nie korzystniéj je mieć ciągle wystawione w miejscu zwiedzaném przez tysiące pątników i przyczynić się do bliższego poznania Polski przez cudzoziemców? Płody rolnicze, wyroby przemysłowe świadczą o żywotności kraju, o stanie jego cywilizacji. Pomimo olbrzymich przeszkód niechęci i niedołężności, napotkanych w kraju i w Wiedniu, ziemie polskie znakomicie były reprezentowane na wystawie, i gdyby przedmioty wystawione zamiast być rozrzucone, w jedném miejscu się znalazły, zadziwiłyby publiczność zwiedzającą wystawę. Niechże się one choć w części zgromadzą w Zamku Rapperswylskim i reprazentują przemysł, rolnictwo i sztukę w Polsce. Zapewne się znajdą pomiędzy artystami tacy, którzy będą mieli za zaszczyt ofiarować Muzeum Narodowemu dzieła swoje. Przecież nawet zapatrując się ze stanowiska materjalnego, jest z korzyścią dla artystów mieć obrazy lub snycerskie roboty, oglądane przez liczną publiczność, a jéj nie zbywa właśnie w Muzeum Rapperswylu. Niech dziennikarstwo nasze popiera projekt wiedeński a odda przysługę sprawie publicznéj.

* * *

— P. **Horbowski**, artysta naszéj opery oświadcza się z gotowością udzielania lekcji śpiewu. Metoda śpiewu p. H., która tak ogólnie się podobała naszéj publiczności podczas jego występów, najlepszém będzie poleceniem. Dawniéj już donosiliśmy toż samo o pannie **Eleonorze Krasowskiéj**, która na scenie tutejszéj opery niemieckiéj świetnego doznaje powodzenia. Oboje tych artystów polecamy usilnie względom publiczności.

* * *

— Szereg odczytów, urządzony we Lwowie na dochód Tow. Naukowéj Pomocy w Cieszynie, rozpoczęły się w niedzielę dnia 12 b. m. W dniu tym odczytał p. **Bolesław Limanowski** rozprawę „O Szląsku“ (losy narodowości polskiéj w téj prowincji); dn. 19 b. m. nastąpił odczyt p. **Tadeusza Romanowicza**: „Pogląd na dzieje porozbiorowe Polski“; dn. 26 b. m. i 2 listopada dwa odczyty p. **Czesława Pieniążka**: „Granice etnograficzne Europy“; dn. 9 listopada odczyt p. **Felicji Boberskiéj** (Wasilewskiéj): „O Zygmuncie Krasińskim“; w końcu p. **Stefanja Wekslerowa** będzie miała odczyt na tenże sam cel dnia 16 listopada.

* * *

— Doroczna uroczystość **otwarcia Zakładu imienia Ossolińskich** odbyła się dnia 11 b. m. we Lwowie. Zagaił uroczystość obecny tymczasowy kurator hr. Krasicki. Następnie odczytał sprawozdanie za rok ubiegły Dr. Wisłocki. Ze sprawozdania jego wyjmujemy: Zakład z powodu licznych trudności nie mógł przyjąć udziału w Wystawie wiedeńskiéj. Muzeum zostało w zeszłym roku ostatecznie urządzone przez p, Edwarda Pawłowskiego, i teraz wszystkie zbiory tworzą nieustanną wystawę. Bibljotekę przeworską wcielono do ogólnego księgozbioru i oprócz tego zrobiono ważne nabytki szczególnie w rękopismach. Zawiązano stosunki z Towarzystwem historycznem w Warmji i przez hr. Broela Platera z Petersburgiem. Co do urzędników, to p. Edwarda Pawłowskiego zamianowano stałym konserwatorem muzeum, a na miejsce p. Wł. Łozińskiego zamianowano sekretarzem naukowym p. Wojciecha Kętrzyńskiego. Inwentarz książkowy dochodzi do 65,000 tomów, rękopismów 1917, rycin 14,661. Czytelnie były licznie uczęszczane. W czytelni dla młodzieży przypadało na dzień czytających po 36 osób. Po odczytaniu sprawozdania p. August Bielowski w pięknéj przemowie przypomniał jakie to były ciężkie czasy dla narodowości polskiéj gdy powstał zakład, zapowiedział wydanie kodeksu dyplomatycznego Tynieckiego, opracowanego przez p. Kętrzyńskiego, i Pamiętnika Jakóba Pszonki, syna głośnego założyciela rzeczypospolitéj Babińskiéj i podał szczegółową wiadomość o tym pamiętniku, który obejmuje czas od śmierci Zygmunta Augusta do wojny chocimskiéj.

Wyjątek z katalogu naszéj

księgarni i antykwarni,

którą otworzyliśmy w **Poznaniu**, przy ulicy **Wilhelmowskiéj** Nr. 18, z dniem 1go października b. r.

Polska porozbiorowa: Emigracja — Rzeź Galicyjska — Powstanie w Poznańskiém — Legjony polskie na Węgrzech i we Włoszech — Od roku 1831—1850.

1. **Almanach Historique.** Souvenir de l'émigration polonaise. 1847. Paris. 2 tal. 20 sgr.
2. **Anglja i Polska** (1844—1850) (przez Stanisława Koźmiana). 18 2. Poznań. 2 tal.
3. **Bieliński, Sewer.** Polacy w Turcji po upadku rewol. Węgierskiéj w 1849 r. Poznań. 1852. 15 sgr.
4. **Błoński, Rafał.** Pobyt na Syberji. 1867. Krak. 13 sgr.
5. **Briefe** einer polnischen Dame, 1840—6. Lpzg. 1846. 25 sgr.
6. — eines polnischen Edelmannes über d. jüngsten Ereign. i. Polen u. die hauptsächlich nur v. deutschen Standpunkte betr. polnische Frage. 1846. Hamburg. 1 tal. 15 sgr.
7. **Borkowski, Karol.** Pamiętnik historyczny o wyprawie partyzanckiéj do Polski w 1833 r. (Zaliwskiego). 18 2. Lips . 25 sgr.
8. **Chodźko, Leon.** Les massacres de Galicie et Krakovie confisquee p. l'Autriche en 1846. Docum. et comment. 1861. Paris. 23 sgr.
9. **Chodźko, Michał.** Adam Mickiewicz i Legion polski we Włoszech, 48go lata wspomnienie. 1862. Paryż. 2 tal. 10 sgr.
10. **Czaplicki, F. M. Wład.** Pamiętnik autora Czarnéj Księgi. Tom I i jedyny 1871. Kraków.
11. — Pamiętnik więźnia Stanu p. autora „Powieści o Hożanie" (Czaplicki. 1873. Lwów. 25 sgr.
12. **Czetz, jenerał.** Bem w Siedmiogrodzie i Węgrzech 1848—9 roku wedle podań Czetza, ułożył L. S. 1854. Pozn. (Z krajobr. i wizer. ob. Rucki). 1 tal. 10 sgr.
13. **Diplomatische** Geschichte der Polnischen Emigration von *** r. 1842. Stuttg. 25 sgr.
14. **Eisenman,** Dr. Głos za przywróceniem Polski, wolno przełożył Antoni Tessarczyk. 1848. Krak. 10 sgr.
15. **Felińska, Ewa.** Wspomnienia z podróży do Syberji, pobytu w Berezowie i w Saratowie. 1852. Wilno. (1839 do 1844). 3 tomy w 1 opr. 2 tal. 10 sgr.
16. — Pamiętniki z życia. 5 tom. 1856—1860. Wilno. 2 tal. 15 sgr.
17. **Gordon, J.** Sołdat, nowe Pamiętniki — z portr. autora. 1864. Brux. 20 sgr.
18. — Mes prisons ou l'exil en Siberie. Mémoires. 1862. Genève. 27 sgr.
19. **Kilka słów o Mirosławskim** z powodu 2go wydania dzieła jego „Powstanie Poznańskie", ob. z r. 1848 nap. G. D. 1861. Pozn. 5 sgr.
20. **Kosiński, Wład.** Sprawa polska z 1846 r. przed sąd opinji publicznéj wytoczona. 1850. Poznań. 13 sgr.
21. — Odpowiedź na Ludwika Mierosławskiego Powstanie Poznańskie w 1848 r. Lipsk. 1861. 17 sgr.
22. **Kufstein,** więzienie Stanu i dola Polaków w nim osadzonych przez więźnia skreślone. 1849. Poznań. 15 sgr.
23. **Kurze Geschichte** der zu Anfung d. J. 1846 i. d. v. Polen bewohnten Landtheilen ausgebr. Revol. (Beiwagen z. Preus. Nat. Kal. für 1847). Danzig. 7 sgr.
24. **Łapiński, Teofil.** Feldzug der Ungarischen Hauptarmee im J. 1849. Selbsterlebtes. 1850. Hamb. 15 sgr.
25. **Legjony polskie** na Węgrzech. Wspomn. oficera tychże legionów. 1850. Pozn. 7 sgr.
26. **Lnbliner, Louis.** Les Confiscations des biens des Polonais sous le regne da Nicolas I. Brux. 1861. 20 sgr

---

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.